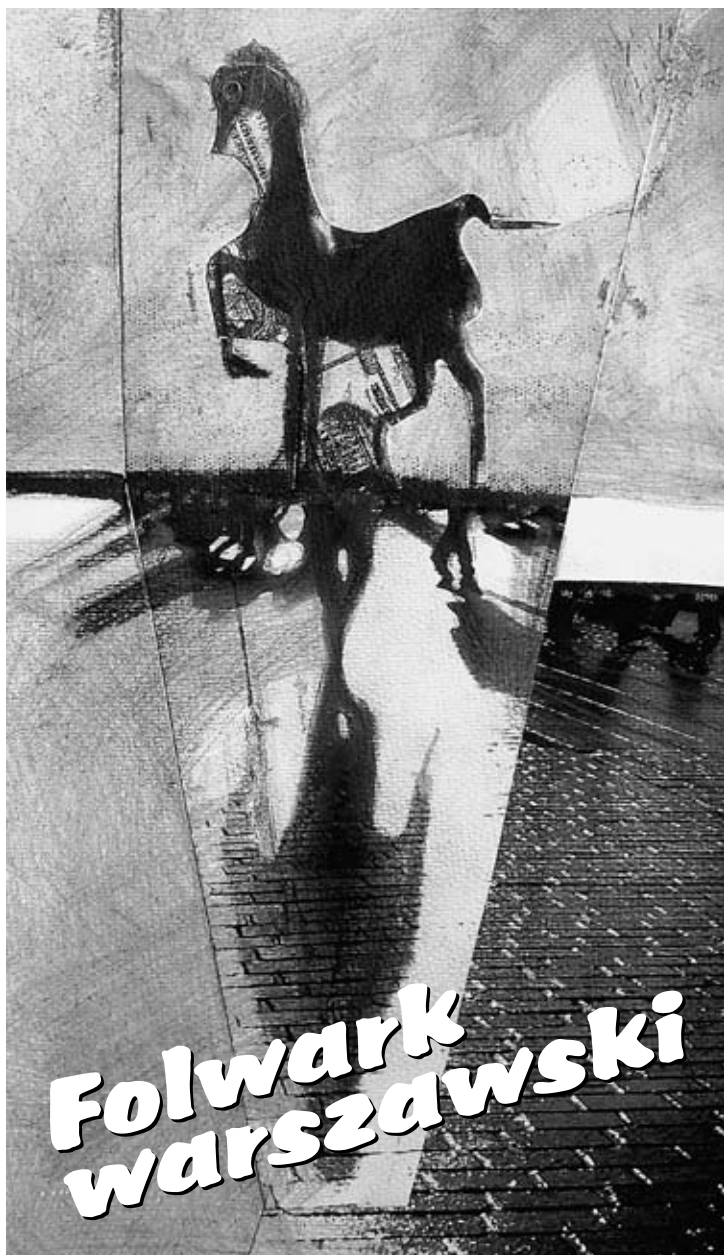




Folwark warszawski

Mateusz Poreda



Folwark warszawski

Mateusz Poreda

Jirafa Roja
Warszawa 2013

© Copyright by Mateusz Poreda, 2013

© Copyright by Jirafa Roja, 2013

Redakcja: Dariusz Papież

Korekta: Joanna Ożóg

Ilustracja na okładce: Monika Winnicka

Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl

ISBN 978-83-63879-02-0

www.jirafaroja.pl

Wydanie I

Warszawa 2013



ROZDZIAŁ 1

— Twoje życie musi powalać na kolana! Ma być szybsze niż kino akcji i bardziej szokujące niż zwierzęca pornografia! Wymaż z niego wszelką monotonię. Jeżeli do tej pory myślisz zęby zgodnie ze wskazówkami zegara, to teraz... przestań w ogóle je myć! Zamień poranną kawę na poranny seks, a wieczorny jogging na nielegalne wyścigi uliczne! Gdy Hollywood dowie się o twoim istnieniu, wytwórnie mają się pozabijać o prawa do opowiedzenia twojej historii!

Za wszelką cenę starałem się zachować koncentrację, ale pusty wzrok otaczających mnie martwych zwierząt znacząco utrudniał to zadanie. Gdy stojąca na stoliku kawowym wiewiórka wycelowała we mnie swoje ogromne siekacze, długopis niemal wypadł mi z ręki.

— Może pan powtórzyć tą część o zwierzętach? — w tych warunkach ciężko było nadążyć z notowaniem bezcennych uwag dziekana, który był zarazem (co napawało mnie dumą) promotorem mojej pracy magisterskiej.

— Proszę cię, nie mów, że ty to wszystko notujesz?

Profesor Samuel Schmidt wyskoczył zza biurka, wyrwał mi z rąk notes i odczytał kilka ostatnich zdań. Tak, notowałem słowo w słowo.

— Janku... powiem ci szczerze — na twarzy Schmidta malowało się załamanie — ze względu na twoją reputację długo zastanawiałem się nad tym, czy zostać twoim promotorem. Według moich drogich kolegów profesorów, którzy znają cię już kilka dobrych lat, jesteś najpilniejszym i najbardziej uporządkowanym, a tym samym najnudniejszym uczniem w historii tego uniwersytetu — tu cisnął moim notesem do kosza na śmieci.

— Dziękuję... — z niepokojem śledziłem los moich skrupulatnie wykonanych notatek, puszczać pejoratywny komentarz mimo uszu.

— To nie był komplement. — Samuel pogłaskał wypchanego borsuka, który zdobył jego mahoniowe biurko, po czym tą samą ręką poprawił swoją siwą czuprynę. Wzdrygnąłem się na samą myśl o przeniesionych pasożytach.

— Z góry ostrzegam, że jeżeli praca choć w ułamku przypominać będzie twoje szare życie, nie dostaniesz zaliczenia, nie wspominając nawet o wymarzonym stażu w mojej prywatnej klinice.

Tu z sentymentem rozejrzał się po tapetujących ścianę certyfikatach i odznaczeniach. Na zaszczytnym miejscu wisiał dyplom dla najlepszej placówki psychologicznej w kraju, który ośrodek profesora Samuela Schmidta zdobył już czwarty raz z rzędu.

— Od tej pory będę żył na krawędzi. — obiecałem, poprawiając delikatnie wygięty kołnierz koszuli. — A może mi pan polecić jakieś artykuły lub książki, które pomogą mi w pisaniu pracy?

— Książki? A kto w tych czasach czyta książki? — profesor był wyraźnie zaskoczony moim pomysłem. — Twoja praca będzie miała charakter eksperymentu społecznego. Jeżeli ma być wiarygodna, musisz oprzeć się na obserwacji wszystkich grup społecznych: od menelów i dresiarzy, poprzez klasę średnią i inteligencję, na politykach i celebrytach skończywszy.

— Ale nie znam osobiście żadnych polityków i celebrytów... — zgłosiłem sprzeciw — a tym bardziej menelów i dresiarzy.

— To poznasz! — podirytowany profesor tupnął nogą, że aż wypchany dzik podskoczył do góry. — Pamiętasz początek mojej podniosłej przemowy, kiedy to wzmiankowałem o porywającej przygodzie życia, którą masz przeżyć? Częścią tej bajkowej przygody będzie spanie na ławce pod gazetami w slumsach i wciąganie kresek koki z tyłków gwiazd popu.

— Ale jak niby mam to zrobić?

— Sobieski, chcesz, żebym się na ciebie pogniewał?

Profesor usiadł na biurku, odpalając papierosa. Gabinetowy czujnik dymu zalepiony był grubą warstwą taśmy klejącej. Dziekan świecił przykładem przestrzegania zasad BHP.

— Nie spieprz tego — Schmidt nie przebierał w słowach. — Wszyscy studenci psychologii śnią po nocach o stażu w mojej kli-

nice, a ty stajesz przed realną szansą spełnienia tego marzenia. Wystarczy, że napiszesz najlepszą pracę magisterską, jaką widziała ta uczelnia! Masz ku temu możliwości, w to nie wątpię, ale w twojej pracy muszę zobaczyć, że masz coś jeszcze. Wiesz, co mam na myśli?

— Wyobraźnię?

— Jaja! — poprawił mnie Samuel. — W tej pracy chcę zobaczyć twoje wielkie, soczyste jaja! A teraz zmykaj. Mam ważne spotkanie.

Wstałem, skinąłem głową, lecz zamiast wyjść z gabinetu, przykucnąłem nad koszem na śmieci, szukając sposobu na czyste odzyskanie notatek.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że Schmidt nadal mnie obserwuje.

— Ma pan może gumowe rękawiczki? — zaryzykowałem pytaniem, ale w odpowiedzi padło tylko nienawistne warknięcie.

Przemogłem się i z obrzydzeniem, używając jedynie koniuszków palców, wyciągnąłem notatnik i szybko wrzuciłem go do plecaka.

Nie chcąc jeszcze bardziej prowokować dziekana, rzuciłem się ku wyjściu. Schmidt dość mglście nakreślił mi zarówno plan, jak i sposób pisania pracy, ale dalsze pytania o tajemnicze wytyczne nie miałyby większego sensu. Mimo to pozostawała jedna pasjonująca mnie kwestia:

— Mogę mieć do pana jedno prywatne pytanie... — odwróciłem się od drzwi, przyłapując profesora na wyciąganiu z szuflady biurka flaszki z bursztynowym płynem, którą szybko ukrył za ogonem borsuka — na kampusie chodzą plotki, że zmienił pan nazwisko ze Schnitzelmacher. To prawda?

— Urzędnikom germanizującym moich pradziadków nie brakowało poczucia humoru, podobnie zresztą jak twoim rodzicom — odparł kąśliwie, już bez krępacji spijając solidnego łyka whisky. — Masz jeszcze jakieś błyskotliwe pytania?

Wystarczyło objąć gabinet wzrokiem, by zrozumieć, że dziekan był typem faceta, którego lepiej nie drażnić. Dyplomy wydawały się jedynym elementem typowym dla akademickich pomieszczeń. Bardziej jednak niż one w oczy rzuciły się oprawione w ramki, niemalże niecenzuralne zdjęcia z młodości Schmidta w zespole hard rockowym i multum wypchanych trofeów myśliwskich,

którym akompaniowała zawieszona wśród poroży strzelba (zdaje się zresztą, że wbrew regulaminowi uczelni). Wyszedłem na korytarz z nadzieją, że Czechow się mylił.

* * *

Ja — nudny?! Co za bzdura! — myślałem, jedząc kanapkę w drodze powrotnej z biblioteki. Idąc chodnikiem, dokonywałem wszelkich starań, żeby omijać krawędzie łączące płyty. Słowa promotora od tygodnia nie dawały mi spokoju.

Co taki dziekan, wielka osobistość świata psychologii o wyraźnych skłonnościach autodestrukcyjnych, może wiedzieć o mojej skromnej osobie? Pierwsze słyszę, żeby skrupulatność, obowiązkowość i odpowiedzialność były cechami negatywnymi! Miałem dość jasno określony cel i szczegółowy plan, jak go zrealizować. Wystarczyło po prostu nie zbaczać z wyznaczonej ścieżki. Ceniłem bezpieczeństwo i spokój, ale żeby od razu nazywać moje życie szarym? Cholera, nadepnałem na krawędź.

Ok, w moje życie wkradła się może monotonia i nawet byłem jej świadom, ale w gruncie rzeczy wcale mi ona nie przeszkadzała. Nie byłem rozczarowany rutyną. Ba! Zaryzykowałbym stwierdzenie, że byłem najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

No bo może i do tej pory zbyt wiele nie osiągnąłem, ale wierzyłem, że była to wyłącznie kwestia czasu. Nie zarabiałem żadnych pieniędzy, ale moje konto w magiczny sposób co miesiąc zasilaly zastrzyki gotówki od ojca, co zapewniało mi bezcenną beztroskę. Nie miałem ambicji, by znaleźć się na okładce Forbse’a, więc póki co w zupełności wystarczała mi możliwość zaspokojenia moich studenckich potrzeb. A o finansową przyszłość po odcięciu pępownicy też specjalnie się nie martwiłem. Do edukacji, a tym samym fundamentu mojej kariery zawodowej, podchodziłem zawsze bardzo poważnie, chociaż kariera nie była dla mnie celem samym w sobie. Bardziej narzędziem. Filarem mojego szczęścia i ładu była...

Para dresiarzy maszerowała dumnie równoległym chodnikiem. Mój szósty zmysł natychmiast wyczuł jedno z największych zagrożeń, jakie czyhały w miejskiej dżungli. Jak zawsze w takiej sytuacji intuicja podpowiadała mi, żebym zawrócił, ukrył się między drzewami, zszedł z pola widzenia podejrzanych typów, ale w tym mo-

mencie rozbrzmiewające w mojej głowie słowa profesora Schmidta okazały się głośniejsze.

Skorygowałem tor ruchu, pędząc prosto na dwóch osobników ubranych tak, jak gdyby uprawiali jogging lub szli na mecz. Obawiałem się jednak, że ich zamiary nie miały nic wspólnego ze sportem. Z każdym krokiem wzmagало się we mnie przerażenie i nadzieja, że moje podejrzenia są niesłuszne. Może ci džentelmeni byli tylko niewinnymi studentami, którzy najzwyczajniej w świecie mieli taki styl ubierania się?

— Pożyczysz portfel? — niski głos grodzącego mi drogę chłopaka sprawił, że moja wiara w ludzkie dobro runęła jak domek z kart.

Odziany w spodnie dresowe i T-shirt trzecioligowego klubu piłkarskiego dwudziestokilkulatek chyba jednak nie był studentem, podobnie zresztą jak towarzyszący mu dwumetrowy łysol.

— I komórkę... — dodał nad wyraz wysokim, wręcz piskliwym głosem łysy, otrzepując ze żwiru nowiutkie, bo wciąż świecące się jak jego glaca, adidas.

Cztery odbłaskowe paski biegnące od obuwia przez dresowy komplet aż po zanikającą szyję świadczyły wyraźnie o tym, że mężczyzna dbał, by zawsze być widocznym na drodze.

— A kiedy oddacie? — zapytałem naiwnie, wyciągając z kieszeni żądane ode mnie przedmioty. Szybko jednak zrozumiałem, że coś jest nie tak. — Zaraz, przepraszam panowie, czy wy chcecie mnie okraść? — zdecydowałem się zapytać wprost, niepostrzeżenie chowając z powrotem komórkę i portfel.

Gdy chłopaki zastanawiali się nad odpowiedzią, kątem oka zbadałem ewentualne drogi ucieczki. Mogłem biec, ale otwarta przestrzeń Pola Mokotowskiego nie dawała szans na działania dywersyjne.

— No a co, kurwa!? — odpowiedział niższy, najwyraźniej mózg przedsięwzięcia.

— Aha, to ja w takim razie... — już chciałem zakończyć tą niewątpliwie głęboką konwersację, gdy potężna łapa łysego zacisnęła się na mojej krtani.

Czułem się jak mała mysz przygnieciona kocią łapą. Od gryzonia różniło mnie tylko to, że nie próbowałem za wszelką cenę wydostać się z pułapki drapieżnika. Wiedziałem, że opór tylko pogorszyłby moją sytuację.

— Wyskakuj z kasy! — zażądał niższy, dumnie zaginając daszek nieco przymałej bejsbolówki z wymownym nadrukiem HWDP.

Nim jednak sięgnąłem do kieszeni, na zwirowej uliczce tuż obok nas zatrzymał się radiowóz. Przez okno pojazdu wyglądał otyły funkcjonariusz, zajądając się opływającą lukrem drożdżówką.

— Wszystko w porządku? — zapytał, zapijając posiłek łykiem kawy.

Minęła chwila, nim napastnicy uświadomili sobie, że na drodze do zdobyczy stanęła im większa ryba.

— Jacha, panie władza, to przecież nasz ziomek, co nie? — odparł z olbrzymią dozą wiarygodności niższy chłopak, instynktownie przekręcając bejsbolówkę o 180 stopni.

— Ty, Jurek, tamci chyba spożywają alkohol! — spostrzegł oficer w fotelu pasażera, wskazując na trójkę studentów siedzących na ławce w cieniu rozłożystego kasztanowca.

Moi rówieśnicy, gdy tylko spostrzegli mundurowych, dyskretnie (jak im się wydawało) wsunęli puszki z piwem do plecaków.

Policjanci nie dali się zwieść. Ruszyli z piskiem opon, zostawiając mnie na pastwę moich oprawców. Jak zwykle wybrali sytuację o większej szkodliwości społecznej.

— Psy już ci nie pomogą. — niższy poprawił bejsbolówkę, prezentując mi zdobiącą ją inskrypcję — wyciągaj hajs!

— Ale zaraz, panowie, — zaprotestowałem — nie podkablowałem was policji — co korelowało ze zgniatającą moją krtań łapą łysego. — Czy wasz kodeks honorowy nie nakazuje zostawić mnie w spokoju?

— Ej, czy on nas obraża? — zapytał wyższy, zaciskając pięści.

Głos łysego drągała był tak niski, że jego dłuższa wypowiedź wystarczyłaby, żeby ściąć mózg lub przywołać stado bezpańskich psów. Skojarzyło mi się to z dzikimi kotami, które paraliżują swoje ofiary nie tylko widokiem ostrych kłów, ale też infradźwiękami zawartymi w ich ryku. Zaraz, o czym ja myślę? Chyba zaczyna brakować mi powietrza...

— Spoko Łysy, koleżka jest niekumaty — niski kompan na szczęście zdołał w porę wyjaśnić sytuację, co automatycznie polużowało uścisk drągała.

— Adrian, nie mów do mnie po ksywie... — Łysy szepnął konspiracyjnie do ucha niższego kolegi, pragnąc, by jego jakże oryginalne i zaskakujące przezwisko pozostało tajemnicą.

Niższy, za ujawnienie imienia, wałnął Łysego w tył głowy, do którego zresztą ledwo dosięgnął.

— Gdybyś powiedział coś psom, już byś nie żył — zwrócił się do mnie. — A tak, to nawet wpierdol nie będzie — odetchnąłem z ulgą. — Ale komórę i hajs musimy zabrać, taka robota.

Już chciałem rzec się żądanych obiektów, gdy w mojej głowie rozbrzmiały wątpliwości, co dziwne, głosem Schmidta — „I to ma być przygoda? A co ciekawego jest w poddaniu się napastnikom?! Zrób coś, do cholery!”.

„W sumie co mi szkodzi...” — pomyślałem naiwnie — „wystarczy, że załatwię sprawę delikatnie...” — następnie zwracając się do napastników:

— Wybaczenie panowie, ale możecie mi obciągnąć.

* * *

Wyda się to może szokujące, ale opór nie na wiele się zdał. Co prawda moja wulgarna wypowiedź została przyjęta nad wyraz pobłażliwie, ale telefon i portfel i tak straciłem. Następnie, żeby nie było zbyt pięknie, dżentelmeni w dresach uznali, że mam pedalskie buty, dlatego też, rzecz jasna dla mojego dobra, postanowili mi je skonfiskować.

Pokonując resztę drogi boso, przyciągałem wzrok rozbawionych przechodniów. Czułem się jak pozbawiony ogona kot, który wśród reszty stada postrzegany jest jako osobnik gorszy.

Zdaję sobie sprawę, że stosowanie tak częstych porównań do świata zwierząt wydaje się infantylne i niedzisiejsze, albo inaczej — debilne i niemodne. Otóż nie jest to do końca objaw mojego zdziwaczenia — uważam się za osobę relatywnie normalną. Stosowane przeze mnie zabiegi stylistyczne mają charakter czysto naukowy.

Wy tłumaczę to tak: jestem studentem piątego roku psychologii na Uniwersytecie Warszawskim i piszę pracę magisterską pod tytułem „Studium zachowań homo sapiens jako dowód na ich ewolucję od najprymitywniejszych form życia”.

Od początku studiów marzyłem o tym, żeby otrzymać staż w legendarnej już, prywatnej klinice równie sławnego Samuela

Schmidta, a gdy dowiedziałem się, że przepustką do moich marzeń może stać się praca magisterska, postawiłem wszystko na jedną kartę. Ostatnie dwa lata wyciskałem z siebie siódme poty, żeby znaleźć się w elitarnym gronie jego seminarzystów, a teraz — gdy w końcu mi się to udało — czułem, że nie jestem jeszcze nawet w połowie drogi.

Nad tematyką pracy głowiłem się całe wakacje. Jej dobór nie mógł wynikać z mojej pasji czy jakichkolwiek głębszych przesłanek — najzwyczajniej w świecie musiał być podpasowany pod dziekana Schmidta, który znany był z zamięłowania do kontrowersji. Ta niedoszła gwiazda rocka specjalizowała się w zaburzeniach procesów psychicznych (na które zresztą z dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem sam cierpiał), więc entuzjastycznie podszedł do mojej propozycji i chętnie postawił mnie przed wyzwaniem udowodnienia mu, że wszelkie odchylenia od normy w ludzkich skłonnościach i zachowaniu to wcale nie społeczne patologie, tylko spadek po naszych zwierzęcych przodkach.

Temat pracy, nie dość że spełniał wszystkie wymagania promotora (który dodatkowo był pasjonatem fauny, chociaż preferował ją w formie martwej natury), to jeszcze wydawał się względnie prosty — miałem udowodnić, że nie odeszliśmy daleko od naszych zwierzęcych przodków, czego potwierdzenie znajdowałem niemalże na każdym kroku.

Z drugiej strony wiedziałem jednak, że awangardowy profesor nie przyjmie mnie na staż, póki moja praca nie będzie lepsza niż biblia i Harry Potter w jednym. Maszerując boso i z pustymi kieszeniami, czułem, że nic nie jest w stanie mnie zatrzymać.

— Chłopcze, czemu paradujesz po ulicy bez obuwia? — na mojej drodze wyrosło nagle dwóch strażników miejskich.

Mundurowi niczym czujne psy wyniuchali, że coś jest nie tak.

— Widocznie prosi się o mandat! — stwierdził drugi, wyciągając notes.

— Są na to paragrafy? — zapytałem poważnie, zerkając na moje nagie stopy.

— Ty, on chyba jest pijany... — stwierdził urażony moim pytaniem strażnik. — Nazwisko! — zażądał.

— Sobieski Jan... — odparłem, na twarzach strażników dostrzegając niedowierzanie.

Już chciałem sięgnąć po dowód, gdy przypomniałem sobie, że znajdował się w skradzionym mi wcześniej portfelu.

— I może jeszcze pod Grunwaldem mieszkasz? — inteligentnie zażartował jeden ze strażników.

— To nie ten król... — poprawiłem uprzejmie, lecz panowie strażnicy nie przykładali specjalnej wagi do zgodności historycznych faktów.

W funkcjonariuszach coś pękło. Zrozumiałem, że w ich oczach byłem upierdliwym, drażniącym się z nimi kotem. Niestety, tych psów nie krępowały żadne łańcuchy.

— Zobaczymy, jaki będziesz mądry na komendzie...

* * *

Straż miejska dotrzymała słowa. Wystarczył jeden telefon do „Zbycha” z pobliskiego posterunku, by znalazło się dla mnie miejsce w przytulnej celi. Byłem pod wrażeniem, że system karny działał w naszym kraju aż tak sprawnie.

Jeszcze przed godziną grzecznie uczyłem się w bibliotece, a teraz siedziałem za kratkami. I kto by pomyślał, że dobre rady Schmidta tak szybko zaprowadzą mnie aż tak daleko.

Niestety i tu nie zaznałem spokoju. Celę dzieliłem z pijanym jak szpadel panem Władkiem. Gdy zapytałem oficera dyżurnego, dlaczego nie trzymają Władysława na izbie wytrzeźwień, odpowiedział mi, że nie mają tam już miejsc. Skoro tak pełno było tu w środowe popołudnie, przeszło mi przez myśl, że w piątkowy wieczór panowie policjanci muszą chyba zabierać trzeźwych inaczej jegościołów do swoich domów.

Rozmowa z Władkiem (z którym natychmiast przeszliśmy na „ty”) sprawiła, że sam poczułem się jak po kilku głębszych:

— Słuchaj Edek... — zaczął Władysław, z niemałym trudem wydobywając z siebie każde słowo.

— Janek... — mimowolnie poprawiłem towarzysza niedoli.

— Marek... Jesteś dla mnie jak syn — kontynuował — nie chcę, żebyś skończył jak ja... — tu mu się odbiło. — Ty Mareczek wyjdiesz na ludzi, jesteś równy gość. Nie dla ciebie kryminał. Sam przekiblowałem kilka lat i powiem ci, że jak już wpadniesz do tego sracza, to już z niego nie wyjdiesz. Państwo zaraz spuszcza wodę.

Władek przybliżył się do mnie, wypełniając moje nozdrza subtelną wonią człowieka, który nie zaznał kąpieli od miesięcy.

— Nie pozwolę, byś zgnił w pierdlu, Eduś...

Po wypowiedzeniu tych wielkich słów, Władek rozejrzał się w koło, konspiracyjnie sięgając dłonią do swoich gaci. Pogrzebał w nich trochę, wyciągając po chwili aluminiową łyżkę. Patrzył na mnie z taką dumą, jakby zamiast sztucca wyjął okazałych rozmiarów przyrodzenie.

— Wydostanę nas stąd — szepnął radośnie. — Nie dam im zniszczyć... naszych marzeń!

Napędzony okrzykiem Władek podbiegł do ściany i zaczął okładać ją łyżką. Domyśliłem się, że jego genialny plan zakłada zrobienie podkopu. Niestety nim zdołał cokolwiek zdziałać, zgiął się w pół i jak kot próbujący odchrząknąć kłaczek, pomęczył się chwilę, po czym puścił pawia i położył się pod ścianą, przycinając komara.

Zaznałem w końcu upragnionej ciszy. Przysiadłem na pryczy, uśmiechając się do siebie.

Zdradziłem już, że uważałem się za osobę ogromnie szczęśliwą. Przygody podobne do dzisiejszych dotychczas starałem się omijać z daleka, ale nawet gdyby przytrafiały mi się codziennie, to i tak nie mógłbym narzekać. Zresztą, czego jeszcze mogłem chcieć, skoro miałem już wszystko?

— Sobieski! — krzyknął strażnik, wyrывая mnie z zamyślenia. — Masz szczęście. Ktoś przyniósł twoje dokumenty. Wychodzisz.

Nieco zaskoczony opuściłem celę, rozglądając się za moim wybawicielem, a raczej wybawicielką.

I wtedy ją ujrzałem — miłość mego życia.

Byłem typem człowieka, który nigdy nie zwracał uwagi na wygląd innych. Nie obchodziło mnie, jakiego koloru ktoś ma włosy; czy jest gruby, czy chudy; jaką ma cerę lub w co jest ubrany. Moje podejście zmieniało się o 180 stopni, gdy stawała przede mną Maja.

Mogłem gapić się na nią całymi godzinami. O każdym centymetrze kwadratowym jej ciała mogłem pisać epopeje. Jej ciało było moją biblią, którą pobożnie studiowałem każdego wieczora (i w trakcie dnia, gdy przydarzała się ku temu okazja).

Dotyk jej kruczoczarnych włosów, które spływały wzdłuż ramion jak wodospady ropy naftowej sprawiał, że czułem się bogatszy

niż Exxon Mobil, Shell i BP razem wzięte. Trzy słodkie pieprzyki zdobiły jej białe policzki niczym czarne perły. Jej ciemne oczy były dla mnie tym, czym głębia butelki dla alkoholika. Jej szczupła sylwetka, delikatnie zaokrąglone kształty opalone w zwiewną, turkusową sukienkę powodowały u mnie... każdy facet wie, co powodowały...

— Sobieski, co znowu przeszkrobałeś? — zapytała rozbawiona Majka, przytulając mnie na powitanie.

Choć siedziałem w areszcie tylko półtorej godziny, czułem się jak degenerat wychodzący na przepustkę po odsiedzeniu kilku dobrych lat. Na widok kobiety poczułem się jak pies, który dostrzega suczkę z cieczką. By nie dać nic po sobie poznać, przytuliłem się do Majki, odchylając biodra do tyłu.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, przyglądając się moim niezgrabnym staraniom.

Skoro i tak mnie przejrzała, nie miałem nic do stracenia:

— Chodźmy stąd... — szepnąłem jej do ucha — bo za stosunek w miejscu publicznym mogą zamknąć mnie na dłużej...

ROZDZIAŁ 2

Uwielbiałem te chwile, gdy leżeliśmy w łóżku po udanym seksie. Odprężony, wolny od negatywnych emocji, na chwilę znajdowałem się z dala od całego świata.

Potrafililiśmy spędzać całe dnie jak zwierzęta. Leżeliśmy w naszym legowisku, opuszczając je tylko po to, by skoczyć po jedzenie lub ewentualnie urozmaicić miejsce stosunku. Jeść, spać i kochać się — tak powinno wyglądać życie człowieka, gdyby zabrać te wszystkie inne atrakcje, które mają rzekomo „odróżniać nas od zwierząt”.

Zresztą, jak na jeden dzień miałem już zdecydowanie dość przygód. Wtulony w ramię Mai zastanawiałem się, skąd Schmidt wziął tego typu metody dydaktyczne. Chociaż zważając na jego bogatą przeszłość, nietrudno było mi wyobrazić sobie, że on również zdobywał wiedzę praktyczną na starciach z dresiarzami i noclegach w areszcie.

— Musisz? — zapytałem, gdy Maja sięgnęła po papierosa.

— Koteczku, co to za seks, jeśli nie wieńczy go fajeczka? — odpowiedziała pytaniem.

Zastanawiałem się, jakie inne zwierzę poza człowiekiem praktykuje jakiś rytuał po stosunku seksualnym, ale do głowy przyszła mi tylko modliszka. Ucieszyłem się, że moja samica jedynie zadymia naszą sypialnię, a nie pożera mnie żywcem.

Maja teoretycznie rzuciła palenie — przynajmniej tym chwaliła się wszystkim w koło. W rzeczywistości jednak „okazyjnie” pozwalała sobie na „małego dymka”. Nie wyobrażała sobie przerwy w zajęciach bez fajki, spotkania ze znajomymi bez fajki, obiadu bez fajki, kawy bez fajki, seksu bez fajki, piwa bez fajki, czy choćby „przewietrzenia się” bez fajki. Tym sposobem „nie paliła”, wypalając jedynie paczkę dziennie.

— Słuchaj... — zaczęła półszepem Maja — chyba zapomniałam wczoraj wziąć tabletki...

Słowa te uderzyły we mnie jak grom z jasnego nieba. Zalałem się potem. Nerwowy strumień emocji spowodował jeszcze bardziej impulsywny strumień myśli:

„O Boże! Czy już w tak młodym wieku mam zostać ojcem? Czy jestem na to gotowy? Czy jestem wystarczająco dojrzały? Na pewno nie — nie mogę być — jestem w końcu za młody. Jestem tylko studentem — podmiotem nieodpowiedzialnym i niegotowym na trudy życia. Czy uniwersytet przygotował mnie do bycia dorosłym? Potrafię z pamięci wyrecytować teorię behawioryzmu i introspekcjonizmu, ale czy będę umiał być głową rodziny?”

„Ale zaraz, przecież zwierzęta nie potrzebują wyższego wykształcenia ani nawet jakiegokolwiek szkoły, aby wychować swoje potomstwo. Dla nich jest to czynność tak naturalna jak spanie, gdy jest się zmęczonym, lub wachanie się po tyłkach. Wiem, że będę w stanie sprostać temu wyzwaniu. Będę dobrym ojcem”.

— Nie martw się skarbie... — odparłem, opiekuńczo przytulając Maję do piersi — zaopiekuję się naszym dzieckiem.

— O czym ty mówisz? — wyraźnie oburzona Maja wyrwała się z mojego uścisku. — Przecież doszedłeś na zewnątrz.

— No tak... — przypomniałem sobie.

Maja włączyła telewizor. Ja sięgnąłem po komputer. Dopiero, gdy zacząłem przelewać na twardy dysk zdobytą dziś wiedzę, uświadomiłem sobie, że cały ten cyrk z dresami, strażą miejską i pobytem w areszcie niespecjalnie przekłada się na moją pracę.

Sugerując się zdaniem Samuela, wpakowałem się w niezłe bagno, ale teraz, na spokojnie, gdy przyszedł czas na refleksje, nie potrafiłem przełożyć zdobytego doświadczenia na odpowiednie słowa.

Pokrótce nakreśliłem moją wizję Władysława, jako zamkniętego w klatce ptaka, który utracił umiejętność latania. Co za banal...

— Hej Pysiu! Chodź zobaczyć, jaki wspaniały przyrządziłam obiad! — z telewizji dobiegł mnie doskonale skonstruowany dialog, inspirując do twórczej i wiarygodnej pracy.

Maja z pasją oglądała 4836 odcinek popularnej telenoweli science fiction pod tytułem „Klon”.

— Możesz przełączyć? — w końcu nie wytrzymałem.

— Czemu?

— Bo jak tego słucham, to mam ochotę wyciągnąć sobie mózg przez nozdrza.

Ku mojemu zaskoczeniu, Maja uległa bez wchodzenia w dyskusję i obrony niezaprzeczalnej wartości artystycznej i moralizatorskiej „Klona”. Co dziwniejsze, uczyniła to wtedy, gdy na ekranie pojawiło się serialowe „ciacho” — Rafał Pałag.

Bez trudu poddałem metaforze zachowania Adriana i Łysego, a także przemyśłych strażników miejskich. Ku mojemu zaskoczeniu, odczytując uwieczniony do tej pory fragment zauważyłem, że zapisane przeze mnie równoważniki zdań układały się w coś bardziej przypominającego powieść niż pracę naukową. Czy to o to chodziło Schmidtowi?

— Tomasz Ryś, witam serdecznie. Moimi dzisiejszymi gośćmi są Irena Machoń, prezes Libertariańskiego Ruchu Równości, oraz Mieszko Bigos, lider Narodowej Partii Patriotycznej.

Z deszczu pod rynnę. Maja przełączyła na program publicystyczny, którego szacownymi gośćmi byli przewodniczący dwóch najbardziej skrajnych partii w tym kraju.

— Zacznę od kwestii, która od jakiegoś czasu dzieli Polaków na dwa obozy — kontynuował Ryś. — Wczoraj w sejmie przegłosowana została decyzja w sprawie referendalnego spisu powszechnego Polaków, który odbędzie się 10 marca. Lewica z Libertariańskim Ruchem Równości na czele przekonała większość rządzącą o konieczności określenia procentowej ilości homoseksualistów w społeczeństwie i poparcia reszty dla rozszerzenia ich praw. Referendum odbędzie się za 5 miesięcy, jednak już dzisiaj pojawiają się głosy, zarówno w kraju jak i za granicą, że mamy tu do czynienia z naruszaniem podstawowych praw człowieka.

— Nic bardziej błędnego... — zanegowała Irena Machoń. — Właśnie dlatego nasza partia od miesięcy naciskała, aby nie badać społeczeństwa w sposób jawny, lecz poprzez anonimowe referendum. Każdy będzie mógł bez żadnych obaw wypowiedzieć się o swojej orientacji seksualnej. W końcu otrzymamy realny obraz struktury społeczeństwa polskiego.

— A nie boi się pani o to, że Polacy reprezentujący większość seksualną i narodowościową po prostu nie wezmą udziału w referendum, ponieważ nie będą w nim mieli żadnego interesu? Oczy-

wiecie, gdyby do urn stawili się wyłącznie przedstawiciele mniejszości homoseksualnej, na postawie ogółu ludności można by określić ich udział procentowy. Istnieje jednak realne zagrożenie, że jeżeli referendum nie przyciągnie ponad połowy uprawnionych do głosu obywateli, to nie przyciągnie nikogo. Mniejszości mogą bać się ujawnić, jeżeli nie będą czuły wsparcia większości.

— Oczywiście, — przyznała Machoń — dlatego najważniejszym zadaniem zarówno dla polityków, jak i dla mediów na najbliższe miesiące jest promowanie referendum i uświadomienie społeczeństwu jego wagi.

— Powiem wprost, że całe to referendum to największa bzdura od czasu otwarcia naszych granic — wtrącił się Bigos. — Czy Polacy naprawdę muszą płacić grube miliony z własnych kieszeni, żeby dowiedzieć się, ilu z nas cierpi na homoseksualizm? Lepiej wydać te pieniądze na leczenie tych nielicznych nieszczęśników...

— Leczenie? — oburzyła się Machoń — Nielicznych?! A to dobre. Wie pan, czemu wydaje się panu, podkreślę, wydaje, że homoseksualiści są w tym kraju grupą nieliczną? Właśnie przez ludzi takich jak pan i pańscy zwolennicy, mniejszości nie ujawniają się, a jest ich więcej, niż potrafi pan to sobie wyobrazić! Dla porównania, w Stanach Zjednoczonych homoseksualiści stanowią niemalże 20% społeczeństwa! 20%! Czy polskie statystyki oscylujące wokół 3% są wiarygodne? Bardzo w to wątpię. To społeczeństwo jest przesiąknięte strachem, a referendum jest jedyną szansą głosu dla każdego w tym kraju, niezależnie od jego upodobań.

— Dlaczego wiarygodność tych statystyk jest tak istotna? — dopytywał Ryś.

— Referendum i uzyskanie prawdziwego obrazu struktury polskiego społeczeństwa to pierwszy krok w kierunku wielkich przemian. Gdy uzyskamy pewność, że ponad 10% mieszkańców naszego kraju to homoseksualiści, walka o ich prawa nabierze zupełnie innego wymiaru. Otworzy to drogę do ślubów par homoseksualnych, do parytetów na stanowiskach rządowych, a w końcu do legalizacji adopcji przez takie pary.

— I może jeszcze pozwolimy kobietom zostawać księżmi!? Co za nonsens... — odparł ostro Bigos. — Oddałem dla tego kraju wszystko i nie pozwolę, żeby moja ojczyzna zamieniła się w Sodomę i Gomorę.

— Jak mamy to rozumieć? — spytał Ryś. — Planuje pan jakieś odwołania od decyzji władz?

— Nic bym tym nie wskórał... — przyznał Mieszko. — Referendum było lobbowane przez całą rzekomą „elitę” tego kraju: zdeprawowane osoby publiczne, dla których tradycje Rzeczypospolitej i wartości chrześcijańskie są po prostu niemodne. Aktorzy, piosenkarze, sportowcy, przebojowi politycy... wszyscy starają się być tacy nowocześni, podążać za zachodem, kalifornizacją świata. A reszta narodu patrzy na ten rozpad, na tą zgniliznę i wie, że jestem ich ostatnią nadzieją... — w studiu zapadła cisza.

— Łał... — milczenie przerwał w końcu Ryś. — To było... wstrząsające. Ale dalej nie powiedział pan, jak zamierza się ustosunkować do referendum?

— Powiem tylko, że stoi za mną cały naród. Nie zagrazi nam grupa sodomistów, choćby nie wiadomo jak wysoko postawionych. Proszę się nie obawiać, — tu Bigos zwrócił się wprost do telewizorów — gwarantuję, że 10 marca nic nie zmieni. Polska pozostanie Polską!

Słowa te w ustach Bigosa mogły oznaczać tylko jedno — wojnę. A że facet miał za sobą armię dresiarzy, skinheadów i słuchaczy radia Maryja, mógł pokrzyżować plany, jak on to nazywał, „sodomistycznej elity”, która śmiała walczyć o równouprawnienie. Realna groźba apokalipsy nie motywowała do dalszego pisania pracy. Rozpoczęcie kolejnego paragrafu straciło nagle jakiegokolwiek sens. Na szczęście z niespodziewaną pomocą przyszła tu Maja.

— Kochanie — słodki „przytulas” odwrócił moją uwagę od ponownie włączonego „Klona” — nie pogniewasz się, jak w piątek wyjdę bez ciebie?

Przed moimi oczami stanęła grupa smukłych gazeli w okresie godowym. Zbliżając się do wodopoju, gazyłe przyciągnęły uwagę pasących się samców. Pod wpływem unoszących się w dusznym powietrzu feromonów, napięcie seksualne u odurzonych trawami sawanny parzystokopytnych wzrosło do tego stopnia, że gotowi byli pokryć nawet co bardziej zaokrągloną skałę. Samice z początku miały się na baczności, lecz wraz z konsumpcją kolejnych żdzbeł ich zmysły tępały. Wkrótce sawanna zamieniła się w scenę orgii.

Przełamię mroczną wizję na bajty, zachowując przy tym kamienną twarz.

— Znowu?

— No wiem... ale z dziewczynami już od dawna planowałyśmy babski wieczór. Włożymy szpilki, jakieś fajne kiecki; napijemy się malibu, a potem skoczymy gdzieś potańczyć...

Ok, więc moja dziewczyna chciała tylko seksownie się ubrać, nawalić i pójść do klubu bez swojego faceta. Najwyraźniej nie miałem powodów do obaw.

— A może jednak zabierzesz mnie ze sobą i będziemy udawać, że jestem twoim homoseksualnym przyjacielem? — spróbowałem, zainspirowany obejrzaną przed momentem audycją, ale pełne politowania spojrzenie Mai posłużyło mi za odmowę. — No co? Jest to chyba teraz dosyć modne, nie? — sprostowałem.

— Nie bierzemy ze sobą niczego, co ma penisa. — to już trudniej było obejść. — Wstęp tylko dla kobiet.

— Właściwie to w połowie jestem kobietą — potwierdzenie tej tezy okazało się nad wyraz proste. — Moja matka jest kobietą.

ROZDZIAŁ 3

— Jakbym miał dziewczynę, w życiu nie wypuściłbym jej samej do klubu. Bo po co chodzi się do klubów? Chyba nie po to, żeby spotkać się ze znajomymi, bo tam się nawet słowa nie da zamienić. Do klubów chodzi się tylko w jednym celu: żeby rwać. — Swoje poglądy przedstawił mój przyjaciel Marcel, gdy maszerowaliśmy na zajęcia przez kampus uniwersytetu.

— To, że ty traktujesz „clubbing” jak polowanie, nie znaczy, że wszyscy tak robią — odparłem.

— Ja? — oburzył się Marcel. — Ja się w klubach czuję jak zwierzyzna łowna!

— Powinieneś się cieszyć, że obecnie wśród studentek panuje moda na egzotykę. — Tu powinienem poinformować, że Marcel był czarny.

— No właśnie, moda — z wyrzutem powtórzył Marcel — nie jestem niczym więcej, niż tylko sezonowym dodatkiem, który włoży się raz, a potem wyrzuca. Mam już dość związków, które kończą się przed śniadaniem.

— Nie powinieneś zaliczać przypadkowego seksu do kategorii związku. — poradziłem. — A zresztą, jeżeli szukasz czegoś na poważnie, to kluby nie są chyba najlepszym do tego miejscem.

— Jasne, że nie, ale gdzie mam szukać? Jedyne dziewczyny na całej tej pieprzonej uczelni, z którymi chciałem mieć coś wspólnego na trzeźwo, traktują mnie jak powietrze... — zastanowił się chwilę. — Nic z tego nie rozumiem.

— A nie sądzisz, że twoje niepowodzenia mogą mieć jakiś związek z tym, że codziennie po zajęciach odpalasz skręta i cały wieczór toczysz bitwy drużyną magów na zmianę z oglądaniem sitcomów? — wyraziłem swoje wątpliwości.

— Nie widzę związku. — stwierdził bez wahania Marcel. — Zresztą po czyjej ty jesteś stronie?

Klepnąłem Marcela po plecach, nie chcąc dalej ciągnąć tej inteligentnej dyskusji. Poza tym już kilka minut wcześniej odniosłem dziwne wrażenie, że ktoś nas śledzi. Postanowiłem zbadać tą sprawę.

— Kim jest ten gość, który idzie za nami i macha do mnie za każdym razem, gdy się obrócę? — spytałem.

Marcel rzucił okiem za siebie, dostrzegając niskiego chłopaka szczerzącego się jak hiena na widok padliny.

— To Maciek, mój chłopak. — Marcel odparł bez ogródek.

— Aha... — rozwiązanie dręczącej zagadki przyniosło mi spokój, ale tylko do momentu, gdy dostrzegłem pewien zaskakujący aspekt w odpowiedzi Marcela. — Zaraz... twój „chłopak”? Zmieniłeś nagle orientację?

— Wiem tylko tyle, że mam dość kobiet... — odparł Marcel — Maciek to równy gość i z nim po raz pierwszy czuję, że mój związek jest stabilny.

— To trochę... dziwne — chciałem użyć mniej dyplomatycznego określenia — no dobra, ale... no nie wiem... całujecie się, śpicie ze sobą? — pytanie to wydało mi się o tyle trudne, że przed oczami stanęły mi te wszystkie noce, które spędziłem z Marcelem sam na sam w jednym pokoju, czy w jednym namiocie, a że przyjaźniliśmy się od dziecka, było ich sporo.

— Postanowiliśmy z tym poczekać...

— Chyba nie do ślubu? — wymusnęło mi się.

Wystarczyło jedno spojrzenie Marcela bym zrozumiał, że mam natychmiast zmienić temat.

— Jakoś go nie kojarzę. Też studiuję psychologię?

— Nie, prawo — wyznał Marcel — a poza tym Metody Ilościowe w Ekonomii i Systemy Informatyczne w Główniej Handlowej.

— Brzmi jak kupa świetnej zabawy.

— Ponoć i tak nie ma czasu na uczelnie, bo pracuje w jakiejś firmie audytowej, cokolwiek to oznacza... Zweit&Old, czy jakoś tak.

— Uważasz, że pracoholik to dobra partia? Chcesz samotnie wychować wasze dzieci? — tym razem pięść Marcela wbiła się w moje ramię.

— A właściwie dlaczego on idzie za nami? — postanowiłem wyjaśnić tę dziwną nieprawidłowość.

— Uznaliśmy, że lepiej będzie nie ujawniać się publicznie. Przynajmniej na razie — wyjaśnił Marcel. — W tym kraju roi się od pieprzonych homofobów. Już i tak balansuję na krawędzi przez to, że urodziłem się czarny. Gdybym jeszcze wyznał, że jestem gejem, najprawdopodobniej zostałbym ukrzyżowany.

— Coś o tym wiem — postanowiłem rozładować atmosferę pięknym wspomnieniem. — Wczoraj straciłem lakierki, bo dwóch dresów uznało, że są pedalskie.

— Bo były pedalskie. — ocenił Marcel.

— Spójrz na siebie. — zripostowałem, gdy weszliśmy na aulę.

— Myślisz, że to całe referendum choć trochę poprawi nastawienie do mniejszości w tym kraju? — zapytał z nutką nadziei, kiedy rozsiedliśmy się już w ławce. Aż głupio mi było mu ją odbierać:

— Nie nastawiałbym się zbyt optymistycznie. Mam dziwne przeczucie, że armia twojego braciszka może zredukować frekwencję na referendum do zera. — aha, nie wspominałem też, że czołowy nacjonalista w tym kraju, Mieszko Bigos, był ukochanym bratem mojego negroidalnego kumpla.

— Też widziałeś go u Rysia... — odgadł Marcel. — Jestem ciekaw, co ten skurwysyn znowu knuje... Nie mogę uwierzyć, że jest moim bratem. Nasza matka musiała się puścić z listonoszem.

Naszą głęboką wymianę poglądów przerwało pojawienie się na auli profesora Adama Kasusa. Był to przemiły starszy człowiek o fascynującym podejściu do życia.

— Dzień dobry. Widzę, że z każdym wykładem jest nas coraz mniej... — zaczął jak zwykle. — I doskonale! Cieszę się, że tyłu studentów poszło w końcu po rozum do głowy! Ten wykład to niewyobrażalna strata czasu. Niewątpliwie jest milion innych miejsc, w których wolelibyście być w tym momencie. Zachęcam, abyście podążyli za głosem serca i opuścili tę aulę. Śmiało, nie krępujcie się!

Na twarzach studentów dało się dostrzec zakłopotanie. Milczące oczekiwanie profesora wywarło na niektórych tak silną presję, że podnieśli się z miejsc i ruszyli ku wyjściu.

— Tak, tak! Idźcie sobie! — zachęcał Kasus. — Radzę omijać wykłady, chyba że chcecie skończyć jak ja: samotny, zdziwaczały dziad bez pieniędzy, ale za to z tytułem! Lepiej znajdźcie sobie prawdziwą robotę albo chociaż skoczcie na siłownię, zostańcie ra-